

Klaudia Michałowska - Promień słońca

Prolog

Dlaczego straciliśmy kontakt?

To pytanie błądzi w mojej głowie od dobrych trzech lat i do teraz nie znalazłam na nie odpowiedzi.

Jacob. Fatalna miłość w moim krótkim, nędznym życiu.

Wysoki brunet o zniewalająco pięknych oczach.

Na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że jest on obiektem westchnień niejednej dziewczyny, lecz kiedy poznać go bliżej okazuje się być potwornie głupi i niezdolny do uczuć.

Wszystko co było - zaczęło się od Niego.

Wszystko co jest - kończy się na Nas.

1

Dzwonek.

Natychmiastowe zerwanie się z krzeseł i pakowanie książek do plecaka w możliwie jak najkrótszym czasie - typowe zachowanie nastoletnich dzieciaków, które jak najszybciej chcą opuścić budynek szkoły i przez najbliższe dwa dni nie zaprzętać sobie nią głowy.

Nie chcąc się wyróżniać, wraz z resztą klasy ruszyłam w stronę szafek. Szybko wpisałam kod i wyjęłam potrzebne mi rzeczy, następnie zatrzęsłam drzwiczki, upewniając się dwa razy, że na pewno są zamknięte. Narzuciłam na plecy czarny płaszcz i szybko podążyłam w stronę wyjścia.

Na zewnątrz przywiał mnie chłodny, grudniowy wiatr, który rozwał moje włosy w każdą możliwą stronę, przez co moje pole widzenia stało się ograniczone. Powoli podążałam do autobusu, po drodze mijając kilka znajomych twarzy.

Nie jestem jakąś szkolną gwiazdką, ale ponad połowa osób ze szkoły mnie zna. Z tego co mi wiadomo, jestem szanowana w tej szkole. Oczywiście, czasem wśród uczniów krążyły plotki na mój temat, ale były to przeważnie głupie wymysły niczym nie potwierdzone. Standard.

Wchodząc do autobusu, od razu skierowałam się na koniec pojazdu i zajęłam swoje stałe miejsce przy oknie. Czarny plecak położyłam na podłodze i wygodnie się oparłam, zamykając oczy.

Kiedy poczułam na twarzy powiew chłodnego powietrza już wiedziałam, że ktoś przede mną usiadł. Nie musiałam patrzeć, żeby wiedzieć, że to właśnie Jacob. To było jego miejsce.

Odkąd sięgam pamięcią, zawsze siadał przede mną. I zawsze musiałam być na niego skazana.

Gdy chodziliśmy jeszcze do podstawówki, byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Wszędzie było nas pełno. Zazwyczaj jedno drugiemu pomagało na sprawdzianach. Odrabialiśmy zadania domowe za siebie. Uciekaliśmy z lekcji. Zawsze i wszędzie razem. Tylko Jacob i ja.

Wystarczyły trzy lata, aby, niegdyś mój, Jacob stał się zupełnie inną osobą. Obcą, oschłą i zimną. Dziś, siedząc naprzeciw niego, zastanawiam się co miało wpływ na jego decyzję. Trzeba przyznać - nigdy nie uczył się zbyt dobrze. Czasami wykorzystywał ten fakt przeciwko mnie i pod wpływem jego intensywnego spojrzenia zgadzałam się robić zadania za niego. Niekiedy ćwiczenie z matematyki wymagające kilku działań, a kiedy indziej długie rozprawki i wypracowania.

Nie każdy rodzi się idealny i nie każdy pojmuje od razu pojęcie względności, dziedzinę funkcji czy reakcje zasadowe. Przypadek Jacob'a jest ciężki, ponieważ mimo moich starań nie dowiedziałam się jeszcze dlaczego aż tak się zmienił.

Porządny chłopak zamienił się miejscem z diabłem. Jak głupim trzeba być, aby olać kompletnie naukę, zacząć pić i palić na różnych imprezach i myśleć, że wszystko zrobi się samo? Odpowiedź jest prosta - bardzo. Gdybym zatrzymała się w tym miejscu i nie powiedziała o nim już nic, wyjawiałabym zaledwie jedną trzecią jego zachowań. Siedząc wygodnie w fotelu, przypomiinałam sobie wszystkie sytuacje z nim związane. Nie było ich wiele, zaledwie kilkanaście, lecz jedna z nich szczególnie utkwiła mi w pamięci. Pamiętam, że odwołano nam ostatnią lekcję i zrobiliśmy mały bunt wobec, nielubianej przez nas, nauczycielki. Z racji deszczu na dworze kazano nam zostać w szkole, ale my nie mieliśmy na to ochoty. Niezauważenie wydostaliśmy się z budynku i znaleźliśmy sobie miejsce pod, w miarę suchym, drzewem. Spędziliśmy tam dobre pół godziny, śmiejąc się i rozmawiając. Było miło, do czasu... Nasze zniknięcie zauważono dopiero kiedy przed szkołą pojawił się autobus, a z budynku zaczęły wylewać się tłumy ludzi. Rzecz jasna nie obyło się bez konsekwencji. Ze strony szkoły tylko upomnienie, natomiast w domu szlaban na wszystko, co możliwe.

Śmieszy mnie fakt, że kiedyś, wcale nie tak dawno temu, uświadomiłam sobie, że Jacob był dla mnie kimś więcej niż przyjacielem. Czy w wieku trzynastu lat można się zakochać, czy tylko zauroczyć? Nie mam pojęcia. Był dla mnie kimś ważnym i chyba do teraz jest. Traktowałam go jak brata, którego nigdy nie miałam. Chciałam być blisko niego. Chciałam, żeby nigdy mnie nie opuścił. Ja chyba go kochałam.

Nie jestem pewna czy moja miłość do niego zniknęła całkowicie. Oddaliliśmy się od siebie, ale czy to znaczy, że moje uczucie do niego również straciło na sile?

*“Byłam tak szczęśliwa
Ale bez ciebie tutaj czuje się tak źle.”*

Budzik po raz kolejny w nieprzyjemny sposób drażnił moje bębny słuchowe, przez co zmuszona byłam opuścić moje ulubione miejsce, jakim było moje łóżko. Leniwie przekręciłam się z boku na bok, żeby sięgnąć po leżący na podłodze telefon. Na ekranie wyświetliła się godzina. Było dwanaście po ósmej co oznaczało, że mój autobus odjedzie za trzy minuty, a do rozpoczęcia lekcji zostało osiemnaście. Szybko odrzuciłam puchową kołdrę i w mgnieniu oka wybiegłam z pokoju, mało się nie przewracając. Przepłukałam wodą twarz i, nie bawiąc się w rozczesywanie, związałam włosy w niedbałego koka. Błyskawicznie wciągnęłam na siebie swoje czarne spodnie i, rozmiar za dużą, bluzę. W pośpiechu zdążyłam się uderzyć w mały palec prawej stopy, który w ciągu minuty minimalnie spuchł. Wróciłam do pokoju po telefon, który wrzuciłam do czarnej torby i zbiegłam na parter. Z kuchennego blatu wzięłam, apetycznie wyglądające, czerwone jabłko, które swoje miejsce znalazło również na dnie torby. Matematyka nigdy nie była moją mocną stroną, lecz z moich obliczeń wynikało, że zostało mi dziewięć minut i że najprawdopodobniej będę spóźniona. Założywszy swoje znoszone, białe trampki opuściłam dom, uprzednio zamykając drzwi na klucz.

Zegar wiszący na szkolnym korytarzu wskazywał 8:24. Prawdopodobieństwo spóźnienia się okazało się prawdziwe. Na moje nieszczęście, przydzielona mi szafka oraz klasa fizyczna znajdują się po przeciwnych stronach budynku. Nauczycielka mi tego nie wybaczy. Szybkim krokiem skierowałam się we właściwe miejsce i wpisawszy właściwą kombinację cyfr, wrzuciłam do szafki wszystkie niepotrzebne rzeczy, i czym prędzej pobiegłam w stronę klasy z numerem 204. Nie tracąc czasu na zbędne pukanie, chwyciłam brązową klamkę i trochę za mocno nią szarpnęłam, ponieważ starsza pani podskoczyła na krześle. Ha! i dobrze jej tak, wredne babsko.

- Carter! Spóźnienie - powiedziała stanowczo i wstała od biurka.

- W zeszłym tygodniu słyszałam to samo. Mogłaby Pani wreszcie coś zmienić - rzuciłam w stronę nauczycielki i, nie czekając na jej reakcję, skierowałam się na tył klasy, gdzie znajdowała się moja ławka.

- I punkty karne za bezczelność!

- Żadna nowość - zrezygnowana wyrzuciłam ręce w górę.

Rozpięłam torbę w celu wyjęcia książek do znenawidzonej przeze mnie fizyki, lecz znalazłam tylko na wpół zapisany zeszyt, który przeważnie zajmuje miejsce na podłodze w moim pokoju. Po podręczniku ani śladu. Trudno. Nie mam zamiaru słuchać monologu o oddziaływaniu potencjalnym czy sile bezwładności. W najmniejszym stopniu mnie to nie interesuje i nigdy nie zacznie. Nie moją winą jest to, że mój mózg skupia się bardziej na humanistyce i ewolucji ludzkości. W całej mojej karierze szkolnej te dwa przedmioty są tymi, których chętnie się uczyć i chcę je rozwijać.

Nie mając zbyt wyboru, wyjęłam swój 'pamiętnik', z którym nigdy się nie rozstaję. Nie jest to typowy zeszyt, gdzie zapisuję swoje przemyślenia. Służy on obserwacjom, niewyjaśnionym sprawom czy po prostu bezsensownym bazgrołom, które z czasem zdają się nabierać piękna. Nieraz pojawiały się tam krótkie wiersze i teksty piosenek mojego

autorstwa. Zdarzały się też listy pożegnalne, które ktoś z rodziny miał znaleźć po moim samobójstwie, którego nie dokonałam do dzisiaj.

Pierwszy wpis pojawił się tam dokładnie dwudziestego pierwszego września ubiegłego roku, kiedy to moja mama zginęła w wypadku samochodowym spowodowanym przez pijanego kierowcę, który wyszedł z tego bez najmniejszego zadrapania. Wtedy też po raz pierwszy uświadomiłam sobie jak to jest stracić kogoś bliskiego.

Strata boli. Na przełomie wieków wszystko się zmieniło, tylko nie to. Ból pozostaje nieodłączną częścią ludzkiego życia. Towarzyszył ludziom pierwotnym, jak i tym współczesnym. Depresja to jedna z złejch konsekwencji odczuwania bólu. Gorsze od popadnięcia w depresję jest wyjście z niej. Spotkania z psychiatrą, setka pytań na minutę, chore obietnice i dawanie nadziei. Prawdę mówiąc, to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Nikt w tamtej sytuacji nie był w stanie mi pomóc czy w jakikolwiek sposób pocieszyć. Nikt ani nic. Przesuwam metalową końcówkę z prawej strony na lewą, pozostawiając na kartce niewielkie ilości atramentu w postaci kilku delikatnie wykrzywionych kresek. Po chwili zmieniam trajektorię mojego pióra i tym razem kreski układają się pionowo. Opuszkami palców delikatnie rozmazuję świeży jeszcze atrament, co z kolei daje zadowalający mnie efekt. W taki sposób, po kilku dodatkowych pociągnięciach piórem i niezbędnych poprawkach, powstał rysunek przedstawiający Manhattan.

W chwili, gdy odłożyłam pióro na brzeg blatu, na korytarzu rozległ się głośny dźwięk dzwonka zwiastującego nadejście krótkiej przerwy. Niedbale wrzuciłam swoje rzeczy do torby i zerwałam się z krzesła. Mijając po drodze biurko Pani Daniels, zaszczyciłam ją uśmiechem pełnym nienawiści i czym prędzej opuściłam salę. Z planu wynikało, że następną lekcją jest historia, więc skierowałam się po potrzebne książki do szafki. Gdy dotarłam na miejsce, moje oczy ujrzały szkolną gwiazdę opierającą się o moją szafkę. Zagotowało się we mnie, gdy uświadomiłam sobie, że będę musiała odezwać się do Williams'a i poprosić go o to, żeby się przesunął. Wszystko wszystkim, ale nigdy w życiu nie odezwałabym się do Lucasa Williams'a - kapitana szkolnej drużyny koszykarskiej, gdyby nie fakt, że właśnie dzisiaj opiera się o moją szafkę, a ja nie mam jak się do niej dostać. Zebrałam w sobie wszystkie siły i powoli kroczyłam w jego stronę, cały czas patrząc w podłogę. Gdy już byłam wystarczająco blisko, podniosłam wzrok i spojrzałam na niego, a on jakby to wyczuł i zaczął mi się przyglądać.

- Mógłbyś się odsunąć? - zapytałam wprost.

- Mógłbym - odpowiedział, lecz ani drgnął.

- A zrobisz to?

- Zrobię.

Posłał mi jeden z jego cwanych uśmieszków. Byłam pewna, że się nie odsunie i będę musiała użyć siły, żeby go przepchnąć, lecz się pomyliłam. Kiedy tylko niechętnie odwzajemniłam jego uśmiech, odbił się od rzędu szafek i dopuszczając mnie do mojej, powiedział ciche "proszę". Moje zdumienie nie chciało ustąpić. Jednak nie zastanawiając się dłużej, otworzyłam metalowe drzwiczki i zmieniałam zestaw książek potrzebnych mi na

kolejną lekcję. Kiedy trzask zamykanych drzwiczek rozległ się po korytarzu, na moim ramieniu spoczęła czyjaś ręka. Błyskawicznie się odwróciłam, zrzucając przy tym dłoń nieznanego. Tak naprawdę Obcy nie był wcale taki obcy, jak mi się wydawało. Moje oczy ujrzęły Lukasa zanoszącego się od śmiechu, który zapewne wywołałam ja. Joy Carter obiektem drwin. Typowe.

- Taa... Uduś się - warknęłam.

- Lepiej nie, zbyt dużo ludzi by mnie żałowało - zażartował.

- Ja na pewno nie.

- Jaka wredota z Ciebie.

- Cześć - rzuciłam i już miałam odejść, kiedy złapał mnie za rękę i pociągnął do siebie.

Niebezpiecznie zachwiałam się na nogach. Kiedy odzyskałam równowagę, popchnęłam chłopaka z całych swoich sił wprost na rząd niebieskich szafek.

- Zwariowałeś! - krzyknęłam zdenerwowana.

Nie odpowiedział. Milczał i tylko głupio się uśmiechał, jakby przyprawianie ludzi o palpitacje serca sprawiało mu przyjemność. Spojrzawszy na niego po raz ostatni, pokazałam mu środkowy palec i odwróciłam się na pięcie w celu jak najszybszego oddalenia się od niego. Moje kroki stawały się coraz szybsze i zamiast patrzeć przed siebie, wzrok wlepiłam w przemijające kafelki na podłodze. Nie zdawałam sobie sprawy, że mój szybki marsz już nim nie był, a nogi, znacznie przyspieszając, sprawiły, że biegłam. Trwałoby to nadal, gdybym nie zderzyła się z czymś twardym i niezbyt przyjemnym. W mgnieniu oka znalazłam się na podłodze, lustrując wysoką postać przede mną. Na chwilę ostrość gdzieś zniknęła, jednak kiedy po chwili wróciła, zamarłam. Przede mną stał nikt inny tylko Jacob Jablonsky.

*“Patrzyłam jak odchodzisz, ale nie mogę nigdy pozwolić ci odejść.
Bo jakiś czas temu byłeś moim wszystkim”*

3

Całą dwudziestominutową przerwę spędziłam zamknięta w jednej z łazienek na piętrze, usiłując nie myśleć o tym, co się przed chwilą stało. Z ponad siedmiuset osób to akurat ja musiałam mieć ten zaszczyt i wpaść na Jacob'a, kompromitując się na oczach jego i obecnych tam osób. Dlaczego? Spojrzenie, jakim obdarzył mnie chłopak, rozbroiło mnie wewnątrz, jakbym była bombą. W jego brązowych oczach tańczyło rozbawienie, lecz można było dostrzec coś jeszcze. Kiedy wszyscy wokół zanosili się gromkim śmiechem, on pozostał niewzruszony. Czyżby był smutny?

Lekcja chemii, biologii czy języka angielskiego w tamtej chwili stały się dla mnie mało istotne. Siedziałam beczynnym na krześle, z głową podpartą na dłoni i od niechcenia notowałam wszystko, co wyłapałam z nudnych i długich monologów nauczycieli. Była to wiedza zbędna, ponieważ owy temat każdy z nas zdawał już na egzaminie w podstawówce.

Nie wiedziałam dlaczego tak jest. Może szkoła za wszelką cenę chce nam wpoić, że nasza skóra to nabłonek, a obraz widziany powstaje na siatkówce. Problem mam tu ja czy ministerstwo edukacji?

Kończąc moją wewnętrzną bitwę z systemem nauczania, zajęłam się patrzeniem na grupę rok starszych chłopców za oknem, którzy świetnie się bawili, grając w koszykówkę na szkolnym boisku. Żałuję, że nie mam dziś zajęć w-f'u. Sama chciałabym się przekonać, czy endorfiny dadzą mi trochę szczęścia, kiedy do moich oczu cisną się łzy.

Po skończonych zajęciach szybko wybiegłam z klasy, chcąc jak najszybciej znaleźć się w domu. Nie wszystko poszło po mojej myśli. Autobus nie zwalniał, co przybliżyło mnie do domu, ani też nie przyspieszył do stu kilometrów na godzinę, abym już mogła w nim być. Nie było mi na rękę towarzystwo czwórki chłopaków śmiejących się na cały głos i zaczepnie pytających dlaczego jestem taka zła. Najchętniej wzruszyłabym ramionami i zignorowała ich pytania, ale zgodnie z tym, czego nauczyła mnie mama za swojego życia, nie chcąc być niemila, odpowiedziałam krótko, że nie mam ochoty na jakiegokolwiek rozmowy. Marzyłam tylko o ciepłym prysznicu i swoim łóżku, z którego nie chciałam już dzisiaj wychodzić. Po opuszczeniu pojazdu skierowałam się w prawą stronę i szybkim krokiem podążałam do domu. Przynajmniej szła dziewczyna, której rodzice prowadzili tutejszą księgarnię. Nie znałam jej imienia, kojarzyłam ją tylko z widzenia. Zamieniłam z nią może z dwa, trzy zdania kiedy to zastępowała któregoś rodzica w sklepie. Natomiast za mną musieli iść Jacob i Josh, chłopak z jego klasy. Przeważnie to ja miałam widok na nich, ale widocznie dziś im się nie spieszyło. Po drugiej stronie ulicy biegła Olivia, dziewczyna zamknięta w sobie, bardzo chuda, blada, która rzadko z kim rozmawiała. Dwa lata temu straciła oboje rodziców w wypadku samochodowym i mieszka z dziadkami. Po szkole krążyły plotki, że ma problem, który ukrywa pod, ciągle noszonymi, długimi rękawami. Szkoda dziewczyny. Obok mnie przejeżdżały samochody z zawrotną prędkością. Z całą pewnością kierowcy przekroczyli dozwoloną prędkość o ponad połowę. Ludzie to szaleńcy.

Od domu dzielił mnie niecały metr, kiedy na podejździe dostrzegłam czarne Audi. Wszystkie chęci ze mnie uleciały jak powietrze z przebitego balonu. Samochód nie zwiastował nic dobrego. Skoro Audi stoi przed garażem to znaczy, że ojczym jest w domu. W głębi duszy miałam nadzieję, że to tylko jednorazowe, wcześniejsze wyjście z pracy, a nie urlop czy, co gorsza, zwolnienie. Niech moje przypuszczenia się sprawdzą. Stałam przed drzwiami z obawą naciśnięcia mosiężnej klamki. Bałam się tego, co może mnie tam spotkać. Otrząsnęłam się dopiero, gdy usłyszałam głośnie śmiechy i komentarze. Odwróciłam głowę w tamtą stronę i zobaczyłam Jacob'a i Josh'a uśmiechających się do telefonu. Zaciekle coś komentowali. Musiało im się wcale nie spieszyć do domów, skoro dopiero teraz pojawili się na horyzoncie. Wracając do żywych, nacisnęłam klamkę i delikatnie uchyliłam drzwi. Do moich nozdrzy od razu dobiegł zapach tytoniu. Czego by się spodziewać?

Chcąc pozostać niezauważona, wślizgnęłam się do domu jak najciszej umiałam. W planach miałam przedostać się do swojego pokoju, wziąć prysznic i udać się do łóżka. Jednak na nic się to zdało, ponieważ w progu kuchni trafiłam na kłopoty.

- No proszę, ktoś to wrócił... Gdzie byłaś tak długo? - warknął bez przywitania.

- W szkole - odpowiedziałam spokojnie.

- Nie wierzę Ci. Mam zadzwonić do szkoły? - zagroził.

- Dzwon.

Po tym zdaniu uśmiechnęłam się do mężczyzny. Chcąc przedostać się do pokoju, musiałam ominąć ojczyrna, co nie było takie łatwe, gdyż swoją posturą uniemożliwiał mi dostęp do schodów. Kiedy usłyszał coś za oknem i wychylił się, by to sprawdzić, ja korzystając z okazji spróbowałam precyzyjnie się między zbędnymi kilogramami mężczyzny a poręczą schodów. Wszystko byłoby dobrze gdyby nie fakt, że w ostatniej chwili zostałam mocno pociągnięta za ramię, w efekcie czego upadłam boleśnie na płytki. Zebrałam wszystkie siły i błyskawicznie podniosłam się z brudnej podłogi.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytał ze złością w głosie.

- Zamierzałam się uczyć - skłamałam.

- Nie tak prędko! Pójdiesz teraz do kuchni i zrobisz mi obiad.

- A jeśli nie chcę?

Odpowiedzią na to pytanie nie były słowa, lecz gest. Silny cios otwartą dłonią wymierzony w mój prawy policzek.

- Lepiej, żebyś chciała - powiedział i zniknął za ścianą.

Odłożyłam torbę na podłogę i, nie mając wyboru, zabrałam się za przygotowywanie obiadu. Postawiłam na naleśniki. Nie mam zamiaru wysilać się dla tego człowieka. Nie obchodzi mnie to, co mi zrobi, chcę mieć to już z głowy i nie oglądać go już dzisiaj. Wyciągnęłam wszystkie potrzebne składniki i w jak najkrótszym czasie zrobiłam ciasto. Z każdą minutą porcja na talerzu stawała się coraz większa. Kiedy już zużyłam całe ciasto, zaniósłam talerz pełen naleśników do salonu, gdzie kanapę oblegał czterdziestopięcioletek. Nie czekając na żadne podziękowania, których i tak się nie spodziewałam, w trybie natychmiastowym opuściłam pomieszczenie. Wróciłam do kuchni, aby posprzątać pozostawiony po sobie bałagan i ewentualnie coś zjeść. Po wyczyszczeniu wszystkiego co możliwe, sięgnęłam do lodówki po wodę. Dzisiaj nic mnie już nie zdziwi. Kompletne pustki. Dwie butelki wody, sok pomarańczowy i opakowanie żółtego sera. Pusta lodówka oznacza tylko jedno - zakupy. Moje marzenie będzie musiało poczekać.

Nie czekając długo, pobiegłam do pokoju po pieniądze, które wcisnęłam w kieszeń spodni i, narzuciwszy na siebie bluzę, wyszłam z domu. Ludzie wracający z pracy przyczyniali się do powiększenia korków w centrum miasta. Na mojej ulicy ruch również się wzmógł, jednak nie był on tak olbrzymi, jakie bywają na głównych drogach. Idąc powoli chodnikiem, słuchając ulubionej piosenki mamy, myślami powróciłam do Jacob'a i jego braku reakcji na to, co się dzisiaj stało. Nie oczekiwałam z jego strony wiele, a praktycznie nic, ale w jakiś sposób dotknęło mnie to.

Znajdując się przed automatycznymi drzwiami marketu odpędziłam od siebie te myśli i pewnym krokiem weszłam do środka. Od razu skierowałam się do stoiska z warzywami i

owocami. Wrzuciłam do koszyka najpotrzebniejsze z nich i ruszyłam dalej. Kolejnymi rzeczami na liście były jogurt, kefir i inne przetwory mleczne. Odwiedziłam też stoisko z pieczywem, napojami i różnymi przyprawami. Postanowiłam umilić sobie dzisiejszy dzień i do koszyka wrzuciłam również mleczną czekoladę. Nie pozwalałam sobie na to zbyt często, ale dziś odczułam taką potrzebę. Gdy już ostatnie produkty ładowały na dnie koszyka i miałam kierować się ku kasom, coś złapało mnie za dłoń i pociągnęło w dół, mało mnie nie przewracając. Kiedy tylko spojrzałam w te niesamowicie błękitne oczy, już wiedziałam kto przyprawił mnie o podwyższenie tętna. Sześciolatka córka Elizabeth i Christian'a, Kate Jablonsky.

- Hej - powiedziała uradowana.

- Cześć brzdącu, co tu robisz? - zapytałam, zauważając brak któregoś z jej rodziców.

- Przyszłam tu z J, ale z nim zakupy są strasznie nudne - marudziła.

J? Jacob?

- Mogę z Tobą? - pytała z nutką nadziei w głosie.

- Myślę, że lepiej będzie jeśli zrobisz zakupy rodzicami, hm?

- Już mówiłam, że jestem tu z Jacob'em! I tak wolę Ciebie - zdenerwowana tupnęła nogą.

Spojrzałam na dziewczynkę i delikatnie się uśmiechnęłam.

- Szkoda. Już tu idzie - westchnęła.

Podążając za jej wzrokiem, zobaczyłam chłopaka, rzeczywiście idącego w naszą stronę, ubranego w szare spodnie dresowe i luźną białą koszulkę. Na biodrach spoczywała koszula w czerwonej kratkę, a na głowie czarna czapka, spod której wymykały się kosmyki blond włosów. Wyglądał... Jak on.

*"Jasne jest że czas niczego nie zmienił,
To jest bardzo głęboko we mnie ale czuję, że jest coś, co powinieneś wiedzieć"*

4

Usiadłszy na łóżku, przetarłam swoje zaspane i podkrążone oczy. Przyglądając się fioletowej plamie na moim przedramieniu, myślałam o tym, że dziś bluza będzie niezbędna i pomoże mi ukryć to, co jest do ukrycia. Nienawidziłam tego. Na zewnątrz żar lał się z nieba, a ja w tej gorączce byłam zmuszona chodzić w długim rękawie. Jak trzeba, to trzeba, mówi się trudno. Tak jak wcześniej postanowiłam, ubrałam się odpowiednio i wyruszyłam na przystanek autobusowy, który nie znajdował się daleko. Będąc już na miejscu zauważyłam o wiele więcej osób niż zazwyczaj, przez co zaczynałam się martwić czy wszyscy na pewno pomieścimy się w jednym autobusie.

Nie kryłam niezadowolenia, kiedy okazało się, że wszystkie miejsca siedzące zostały już zajęte i jedynym wyjściem, jakie mi pozostało, było stanie pomiędzy innymi osobami. Przy każdym silniejszym szarpnięciem pojazdu, na mnie, jak i resztę pasażerów niemających swojego miejsca, grawitacja działała niekorzystnie. Ci z przodu, nokautując innych, przemieszczali się na tył autobusu, wydając z siebie niekontrolowane piski i jęki. Po niecałych dwudziestu minutach jazdy pojazd zatrzymał się przed ogromnym budynkiem szkoły. Na twarzach uczniów pojawiły się szerokie uśmiechy i wszyscy, z wielką radością, rozpoczęli swoją wędrówkę ku drzwiom wyjściowym. Zaczęłam się przepychać między nastoletnimi ciałami. Kiedy już wydostałam się na zewnątrz, przyspieszyłam kroku, aby jak najszybciej znaleźć się w szkole. Byłam dziwnie podekscytowana dzisiejszym dniem. Nie wiedziałam co było tego przyczyną.

Pierwsze cztery lekcje minęły tak szybko, że nawet nie zauważyłam kiedy. Piątą godzinę prowadził pan Brooks - nauczyciel wychowania fizycznego, którego wszyscy uczniowie uwielbiają. Jest młody, nie ma więcej niż trzydzieści lat i bardzo szczupły, lecz umięśniony, przez co głównie u dziewczyn uchodzi za "mężczyznę idealnego". Mój kontakt z wuefistą, a zarazem wychowawcą mojej klasy jest zaskakująco dobry i chyba najlepszy spośród wszystkich innych. Jako, że ciągle oblegam trybuny, kilka razy zdarzyło mi się porozmawiać z nim na tematy, o których nie mogłabym rozmawiać z ojczymem czy przyjaciółką, gdybym ją miała.

Zamiast pójść z dziewczynami do szatni, standardowo skierowałam się na trybuny, gdzie zajęłam swoje stałe miejsce pod ścianą. Wyjęłam z torby podręcznik od matematyki i, w oczekiwaniu na rozpoczęcie lekcji, zaczęłam powtarzać sobie wszystko, co może przydać mi się na dzisiejszym teście podsumowującym kolejny zakończony dział. Wzory na pola, wysokości czy objętości przelatywały przez moimi oczami, pozostawiając jakąś cząstkę w głowie. Kiedy już opanowałam większość pomyślałam, że na nic mi się to zda, ponieważ żeby zrobić zadanie, musiałabym wykonać obliczenia, z którymi mam problem. Rzuciłam książkę na miejsce obok i zajęłam się kartkowaniem grubego zeszytu. Nie liczyłam, że to uczyni ze mnie geniusza, ale skoro mam czas wolny, to chociaż spróbuję. Nienawidzę matematyki!

Głośny krzyk nauczyciela przerwał mi analizę jednego ze zadań. Poinformował uczniów, że dzisiejsze zajęcia będą szczególne. Możliwe, że Brooks odpuści im piętnaście minut biegu, może zagrają w coś, w co w tej szkole gra się raz w roku. Moje spekulacje nie okazały się być prawdą, ponieważ do mojej klasy została dołączona inna, której w ostatniej chwili odwołano zajęcia. Takim sposobem moja grupa powiększyła się o dwadzieścia trzy osoby. Po tym jak wszyscy zebrali się na płycie boiska i rozpoczęli rozgrzewkę w formie biegu, odgłos kroków stał się głośniejszy i było go słycać dosłownie wszędzie, co znacznie utrudniało mi skupienie się. Kiedy na sali rozległ się krzyk jednego z uczniów nie wytrzymałam i zdenerwowana rzuciłam zeszyt na torbę, i w trybie natychmiastowym skierowałam się do łazienki, aby się uspokoić.

Odkręciwszy zawór z zimną wodą, zanurzyłam w niej rękę. Zamknęłam oczy i delikatnie przetarłam twarz mokrymi dłońmi. Czułam jak po moich policzkach powoli spływa chłodna, przywracająca do życia woda. Lubiłam taki stan. Lubiłam, kiedy nikt mną nie rządził, nie krytykował mnie, kiedy mogłam być sobą. W tamtej chwili poczułam się wyzwolona. Byłam

szczęśliwa, że mogłam od tego odpocząć, jednak żadne szczęście nie trwa wiecznie, a na pewno nie moje. Zakręciłam wodę i wróciłam na trybuny.

Dziewczyn nigdzie nie było, co znaczyło, że mają zajęcia na zewnątrz. Na boisku gra toczyła się w najlepsze. Nie miałam pojęcia jaki jest wynik, ponieważ nikt nie obsługiwał tablicy elektronicznej, lecz po kilkuminutowym przyglądaniu się graczom mogłam sądzić, że moja grupa prowadzi. Ich taktyka była dziwna, ale skuteczna. Z każdym kolejnym trafionym koszem na twarzach przeciwników malowało się zdziwienie. Byli trochę zdezorientowani kolejnymi ruchami prowadzących, jednakże nie poddawali się i zdobywali punkty. Szczególnie moją uwagę przykuł chłopak w fioletowej koszulce z napisem "50". Za każdym razem, gdy był wystarczająco blisko mnie, odwracał się plecami i biegł w przeciwnym kierunku. Dlatego zapamiętałam tylko cyfrę na jego podkoszulku. Siedząc po prawej stronie boiska, miałam widok na każdego z mojej grupy i prawie wszystkich poznałam od razu, natomiast tamci pozostali mi nieznani. Prawdę mówiąc nie obchodziło mnie to kim byli, jednak ciekawość wzięła górę, a moja ręka automatycznie sięgnęła do torby po okulary. Założyłam na nos czarne oprawki i szybko odszukałam danego gracza. Dostrzegłam go na końcu boiska, stał tyłem do mnie i próbował nie dopuścić do rzutu do kosza. Teraz wyraźnie widziałam, że był ciemnym brunetem, a nad cyfrą "50" widniał napis "Sacre R.". Kiedy tylko się odwrócił, ujrzałam twarz opalonego siedemnastolatka, członka samorządu, rozgrywającego w szkolnej drużynie koszykarskiej - Daniela Rick'a. Przebiegłam wzrokiem po reszcie zespołu i w głowie próbowałam odnaleźć jego prawdziwe imię. Zaprzestałam swoich działań, kiedy w mojej głowie zapaliła się żaróweczka.

Skoro jest tu Rick, Cooper i Dover, to musi być tu i Jacob, w końcu razem chodzą do jednej klasy. Panicznie zaczęłam się rozglądać w poszukiwaniu jego osoby, jednak nigdzie go nie zauważyłam. Nie pojawił się przez pozostałe dwadzieścia minut zajęć. Nie było go. Po zakończonych zajęciach opuściłam salę gimnastyczną i zmierzając do szafki, aby odnieść książki, poczułam na barkach ogromny ciężar. Po chwili do moich uszu dobiegł głupkowaty śmiech mojego kompana z ławki, a zarazem jedynego przyjaciela - Tima.

- Nie uwierzysz! - mówił podekscytowany - Nie uwierzysz, co się stało.

- Co takiego? - dopytywałam.

- Josh zaproponował mi wstąpienie do drużyny - wykrzyczał uradowany.

- Żartujesz?!

- Mówiłem, że nie uwierzysz...

- Naprawdę? Josh Allen chce żebyś był w drużynie?

- Tak, i będę, jeśli tylko pogada z Williams'em, a on zdecyduje się mnie przyjąć.

- Tak się cieszę i gratuluję.

To powiedziawszy, przytuliłam mocno chłopaka. Cieszyłam się jego szczęściem, ponieważ spełniło się jego marzenie. Od momentu, kiedy rozpoczął naukę w tej szkole wmawiał mi, że kiedyś zobaczę go na wielkim boisku, gdzie będzie reprezentował nasze liceum. Widziałam

przyjaciela kilka razy w akcji i był naprawdę dobry. Bałam się, że to może nie wystarczyć, że będą wymagać od niego niemożliwego, ale nie traciłam nadziei i wierzyłam, że Tim osiągnie sukces.

Po zakończonych zajęciach, wraz z przyjacielem, opuściłam budynek szkoły i, pożegnawszy się z chłopakiem, skierowałam się do autobusu. Kierowca cierpliwie poczekał aż pojazd się zapełni i dopiero wtedy ruszył. Miejsce przede mną nie zostało zajęte. Czułam dziwną, nieopisaną pustkę. Jacob'a nie było. Po kilkudziesięciu minutach jazdy ze słuchawkami w uszach, nadeszła moja kolej opuszczenia autobusu. Drzwi za mną zamknęły się, a kierowca ruszył, pozostawiając mnie na przystanku samą. Stałam tak i nie wiedziałam co zrobić. Nie mogłam się ruszyć. Mój mózg zerwał połączenie z moim ciałem, byłam jak sparaliżowana. Dopiero przejeżdżający samochód, który ochlapał mi buty, wrócił mi trzeźwość umysłu. Otrząsnęłam się i skierowałam do domu.

Kiedy byłam tuż przed drzwiami, z sąsiedniego domu wybiegła kobieta. Próbowwała szybko założyć szary żakiet, który zapewne kupiła w komplecie ze spódnicą. W jednej dłoni trzymała telefon, a w drugiej torebkę, co znacznie jej to utrudniało. Machnięciem ręki pospieszała swoją córkę, która ewidentnie nie miała ochoty jechać z mamą. Zaśmiałam się cicho z zaistniałej sytuacji i zostałam zauważona przez Kate. Pomachałam dziewczynce, a ta zaczęła biec w moją stronę, by po chwili rzucić mi się na szyję. Pani Elizabeth była zaskoczona takim posunięciem córki, jednak z uśmiechem podeszła do nas.

- Z nieba mi spadłaś Joy! - powiedziała, cały czas się uśmiechając.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Mogłabyś zająć się Kate przez jakieś dwie, trzy godziny? Dostałam pilne wezwanie, a nie mogę zostawić jej samej w domu.

- Noo... Nie wiem czy to dobry pomysł.

- Proszę Cię. Wiesz, że Kate bardzo Cię lubi i na pewno będzie zadowolona. Kobieta spojrzała na dziewczynkę, która z radością pokiwała głową na zgodę. Nie chciałam konfrontacji z Jacob'em, ale nie mogłam odmówić.

- Dobrze, niech będzie - uśmiechnęłam się szeroko do dziewczynki.

Elizabeth dała mi klucze i wyjaśniła, że gdyby Kate czegoś potrzebowała, to będzie o tym mówić. Właściciel domu, Christian, miał wrócić późno, natomiast jeśli Jacob wróciłby szybciej, miałam przekazać mu opiekę nad siostrą. Po przekazaniu wszystkich zbędnych oraz niezbędnych informacji, kobieta wsiadła do samochodu i odjechała. Powiedziałam sześciolatce, że muszę coś zrobić i zaprowadziłam dziewczynkę do swojego domu, gdzie kazałam jej poczekać w salonie, a sama pobiegłam na górę do pokoju. Spod łóżka wyjęłam, zapakowany w pojemniku, czynnik i strzykawkę. Już byłam gotowa wbić igłę w skórę, kiedy padło pytanie:

- Co robisz?

Szybko spojrzałam w stronę, z której padło zapytanie. W drzwiach stała Kate i z zaciekawieniem przyglądała się moim poczynaniom.

- Nic takiego - powiedziałam i zaczęłam pakować do pojemnika chwilę wcześniej wypakowane rzeczy.

- Powiedz mi - nalegała.

Odłożyłam wszystko na swoje miejsce i podeszłam do dziewczynki.

- Nie mogę Katie, przykro mi. Chodźmy już.

Złapałam sześciolatkę za rękę i pociągnęłam ją ku drzwiom frontowym. Nie tylko dlatego, że chciałam uniknąć odpowiedzi na pytania, ale też wolałam nie dopuścić do przypadkowego spotkania z moim ojczymem, które z pewnością zakończyłoby się krzykami i wyzwiskami. Przekręciłam klucz w zamku i wrzuciłam go do jednej z kieszeni. Z drugiej wyjęłam pęczek, który dostałam od Elizabeth Jablonsky i z małą pomocą dziewczynki weszliśmy do jej domu. Kate od razu zajęła miejsce na beżowej kanapie w salonie i zajęła się zmienianiem kanałów z kreskówkami. Jako dziecko często bywałam w tym domu, ale to było dawno, jeszcze kiedy mama żyła i wspólnie przychodziliśmy tutaj na ploteczki do sąsiadki. Pomimo upływu czasu, nic się tu nie zmieniło. Może poza kolorem ścian, który teraz nie był tym pięknym złocistym odcieniem co kiedyś. Doskonale znałam rozkład pomieszczeń w tym domu, dzięki licznym zabawom w chowanego, wiele się nauczyłam. Wtedy było dobrze, teraz moje życie strasznie odbiega od tego słowa. Nie wiem jak to się stało, że kiedyś było tak idealnie, a dziś chciałabym tylko płakać z bezsilności.

*“Nigdy cię nie zapomnę
i zawsze będziesz przy mnie.”*

5

Listopad minął tak szybko, że nawet tego nie zauważyłam. Zresztą byłam zajęta zakuwaniem do testów semestralnych i chodzeniem na dodatkowe kółka, aby zaliczyć każdy przedmiot, i zdobyć stypendium, żeby wyjechać z tego miasta raz na zawsze. Dni spędzałam głównie na tym. Tylko codzienne wyrywanie kartek z kalendarza przypominało mi, że wskazówki zegara nie zatrzymały się i płyną dalej, a do świąt Bożego Narodzenia zostało niewiele czasu. Na domach zaczęto wieszać kolorowe lampki, w sklepach obniżano ceny produktów, a w radiu puszczano kolędy i inne piosenki świąteczne. Gdzie tylko nie spojrzeć, można było dostrzec dmuchane Mikołaje czy ozdobione przydomowe choinki. Wydawało mi się, że w tym roku przygotowania rozpoczęto znacznie wcześniej niż kiedykolwiek.

Siedziałam na ławce w miejskim parku. Na kolanach spoczywała książka, a obok mnie stał papierowy kubek z kawą i zapakowane ciastko z pobliskiej kawiarni. Czarny płaszcz otulał mnie szczelnie, a kraciasty szal wił się wokół szyi, dając mi dużo ciepła. Było zimno, jednak nie tak bardzo, aby spędzać całe dnie w łóżku pod grubą kołdrą. Gdzeniegdzie spomiędzy

gałęzi drzew przebijały promienie słońca, uświadamiając nam, że to zaledwie przedsmak prawdziwej zimy, która przyniesie ze sobą śnieg i temperatury poniżej zera. Lubiłam spędzać wolne, sobotnie popołudnia właśnie tak, siedząc w parku, wśród drzew, gdzie wszystko jest takie spokojne i móc dać się ponieść własnym myślom. Lubię zapomnieć na chwilę o problemach czy obowiązkach i poczuć się wolną. Zatrzymać czas i zauważyć to, na co dzień nam umyka. Dostrzec piękno otaczającego świata czy odczuć przyjemność, kiedy chłodny wiatr smaga rozgrzaną skórę. Być sobą.

Kiedy zegar na kościelnej wieży wybił godzinę 14, stwierdziłam, że najwyższy czas się stąd zabrać i wypełnić resztę zadań z listy, którą ułożyłam w głowie, będąc jeszcze w łóżku. Zawiesiłam torbę na ramieniu i ruszyłam ku wyjściu z parku, po drodze wrzucając pusty kubek po kawie do śmietnika. Większość drzew straciła już wszystkie liście, a te, chcąc uprzykrzyć mi życie, lepiły się do moich nowych, białych butów z każdym kolejnym krokiem. Mijając ogromną bramę prowadzącą do parku zauważyłam, że po drugiej stronie ulicy otwiera się nowy sklep. Za oknem piętrzyły się kartony, a wokół kręcili się ludzie. Drzwi otwierały się kilkanaście razy na minutę, ciągle ktoś wchodził i wychodził. Sądząc po niedokończonej i zastawionej papierowymi pudłami wystawie, powitamy w Redding nowy, i zarazem jedyny, sklep muzyczny. Zaciekawiona i rządna informacji postanowiłam sprawdzić to wieczorem. Byłoby wspaniale, gdybym, w razie potrzeby, mogła chodzić po nowe struny do sklepu zaledwie trzy ulice dalej, a nie jeździć do innego miasta czy tracić pieniądze na przesyłki internetowe. Tymczasem ruszyłam na podbój supermarketu.

Torba na ramieniu i siatki w rękach ciążyły mi coraz bardziej, lecz mimo to dotarłam do domu. Rozpakowałam wszystkie zakupy i poukładałam na właściwe miejsce. Z torby wyjęłam książkę i położyłam ją na kuchennym blacie, a klucze rzuciłam na komodę w korytarzu. Szybko wbiegłam na górę i jak opętana wpadłam do swojego pokoju, gdzie uchyliłam lekko okno, aby odświeżyć pomieszczenie. Wychodząc, wzięłam ze sobą puchowy koc i głośno zatrasnęłam drzwi. W kuchni czekała na mnie gotująca się woda, z której zrobiłam gorącą herbatę z miodem i cytryną. Ustawiłam kubek na książce i zaniostałam je na taras za domem. Postawiłam wszystko na szklanym stoliku i wróciłam do kuchni po koc. Usadowiłam się wygodnie w fotelu i opatuliwszy się dokładnie, wzięłam słynną rosyjską powieść do ręki i otworzyłam w miejscu, na którym skończyłam.

- Lew Tołstoj. Anna Karenina. - wypowiedziałam głośno.

Wyjęłam zasuszoną bordową różę, która służyła mi jako zakładka i odłożyłam ją na stolik. Wyłączyłam umysł i pogrążyłam się w lekturze. Poszczególne litery tworzyły słowa, a one z kolei zdania, które miały swój sens po ich przeanalizowaniu. Jako że byłam w domu sama, zaczęłam czytać na głos. Pomagało mi to się skoncentrować. Rozumiałam wtedy sytuację i umiałam postawić się na miejscu bohaterów. Gdy byłam w połowie rozdziału, do moich uszu dotarł głośny śmiech i wzajemne przedrzeźnianie, które dobiegły z sąsiedniego ogrodu. Uśmiechnęłam się pod nosem, wyobrażając sobie jak wygląda kłótnia między Kate a Jacob'em. Chłopak próbuje jej coś uświadomić, a ona za żadne skarby nie chce go słuchać, bądź się z nim nie zgadza, teatralnie tupiąc nogą. Ta wizja wywołała ogromny uśmiech na mojej twarzy. Ta dwójka ma wielkie szczęście. Mają siebie. Ja o kimś tak bliskim mogę tylko pomarzyć. Moje uzalenie się nad swoim losem przeszłoby w stan krytyczny, gdyby nie hałas dobiegający z wysokich tuj tworzących ogrodzenie. Nie kryłam zdziwienia, kiedy spomiędzy drzewek wyszedł Jacob i rozbawienia, kiedy jego własne niezawiązane sznurówki

przyczyniły się do tego, że skosztował piasku z mojego ogrodu. Szybko się pozbierał i przetarł dłońmi białą koszulkę, której teraz przydałoby się pranie. Zaczął rozglądać się dookoła jakby był tu pierwszy raz. Wzrok zatrzymał na czymś, czego ja nie mogłam dostrzec. Ruszył przed siebie i zatrzymał się kilka kroków później, pochylił się do przodu, wyciągnął ręce, aby sięgnąć po... niewielką różową piłkę. Podrzucił ją dwa razy w rękach i odwrócił się na pięcie by odejść, jednak kiedy kątem oka zauważył, że ktoś go obserwuje, gwałtownie przystanął.

- Ee... Cześć - wydukał zdenerwowany.

W odpowiedzi pomachałam ręką, delikatnie się uśmiechając.

- Przepraszam, nie chciałem Ci przeszkadzać, tylko Kate... - tłumaczył.

- Nie zwalaj winy na Kate! - przerwałam mu.

- Ale to jej wina. To przez nią musiałem przejść przez te cholerne krzaki! W dodatku boli mnie ręka, bo się wywaliłem.

- Po pierwsze, mów ładnie. Po drugie, wszystko widziałam. Po trzecie, wystarczyło zapukać.

- Co?

- Wystarczyło przyjść, zapukać albo chociaż napisać sms. Na pewno bym Ci nie odmówiła.

- Możesz zwolnić, bo nie rozumiem?

- Wiem, że cały swój wolny czas chciałbyś spędzać ze mną, wiem, że ogromnie tego pragniesz, ale się boisz. Elizabeth byłaby zadowolona, gdyby dowiedziała się, że się spotkamy.

- Co?! Ja nie... Przecież... - był zdezorientowany.

- Żartowałam! Uspokój się - z trudem powstrzymałam wybuch śmiechu.

Chłopak prychnął, podszedł do żywopłotu i przerzucił nad nim piłkę. Spojrzenie, jakim mnie obdarzył, zdradzało wszystkie jego emocje. Z całą pewnością był zdenerwowany, co nie działało na moją korzyść. Dlaczego ja w ogóle się do niego odezwałam? Powinnam mu była powiedzieć, że nic się nie stało lub po prostu udawać, że go nie zauważyłam. Nie miałabym wtedy problemu. Chłopak stanął centralnie przede mną, a swój wzrok utkwiał na mojej twarzy. Założywszy ręce na biodra powiedział:

- Trzeba przyznać. To Ci się udało!

Co on powiedział? Czy ja się przesłyszałam? To niemożliwe, że Jacob Jablonsky w dalszym ciągu tu jest i ze mną rozmawia. Nie chciałam w to wierzyć, jednak skrzypnięcie drewna pod jego ciężarem było jednoznaczne i bardzo przekonujące.

- Co czytasz? - jego głos przerwał moją wewnętrzną wojnę.

- Co? - zapytałam niepewna pytania.

- Pytałem, co czytasz.

Sięgnęłam po książkę i pokazałam chłopakowi okładkę. Analizował ją dość długo, jakby chciał wyczytać z niej więcej niż z zawartości lektury. Po dłuższej chwili stwierdził:

- Nie znam.

- Bo jesteś głupi - zripostowałam.

Blondyn wydał dolną wargę do przodu i osiągnął swój cel, ponieważ zmiękczył mnie swoją miną, lecz nie na tyle, abym go przeprosiła. Uśmiechnęłam się triumfująco i powoli podniosłam się z ogrodowego leżaka.

- Idę do domu - powiedziałam.

- Nie możesz jeszcze zostać? Zaraz będzie zachód - marudził.

- Zimno mi, poza tym muszę coś pilnie zjeść.

- W takim razie idę z Tobą.

- Prosił Cię ktoś?

- Sam siebie! Przepuść mnie, jedzenie na mnie czeka.

- Chyba żartujesz.

- Nie, jestem nadzwyczaj poważny.

To powiedziawszy, wszedł do mojego domu jak gdyby nigdy nic i od razu skierował się do kuchni.

*“Od dnia kiedy cię poznałam
Wiedziałam, że będę cię kochać do dnia, w którym umrę.”*

6

Zima przyszła wcześniej niż się tego spodziewałam. Jeszcze niedawno mogłam spokojnie poczytać w ogrodzie, a dziś kiedy patrzę na przykryte białym puchem drzewa, przechodzą mnie dreszcze. W przeciągu tygodnia na ziemię spadły duże ilości śniegu, przez co życie na ulicach powoli zanikało. Pokonanie oblodzonego chodnika stało się nie lada wyzwaniem dla przechodniów, dlatego też niektórzy rezygnowali z jakichkolwiek wyjść. Jednak znaleźli się

tacy, którzy pomimo zimnego wiatru i opadów śniegu hartowali się, biegnąc po grubym i niebezpiecznym lodzie, a jedną z tych osób był pan Jablonsky. Podziwiałam go, nie tylko dlatego, że ma odwagę biegać, kiedy ulica stała się istną ślizgawką, ale też dlatego, że z biznesmena, człowieka sukcesu, potrafił stać się zwykłym i niczym niewyróżniającym się mieszkańcem jednego z kalifornijskich miast, który każdego ranka o świcie rozpoczyna swoją przygodę z bieganiem.

Jedni zaczynają swój dzień aktywnie, drugim natomiast nie spieszy się opuszczać łóżka. Mój dzień rozpoczyna się podłączeniem tostera do prądu i zabiciem potwornego, porannego głodu. Zakończenie nie jest tak ciekawe jak początek, ponieważ moją wieczorną misją jest tylko wyjąć wtyczkę z gniazdka. Gdyby nie dni wolne, mogłabym rzec, że moje życie to rutyna. Budzę się, myję, jem, wychodzę, wracam, jem, odpoczywam, myję się i znowu idę spać.

Tego piątkowego poranka budzik nie znał litości i, urządzając sobie mały bunt, zadzwonił znacznie przed czasem. Zdenerwowana cisnęłam budzikiem w drugi koniec pokoju, rozbijając przy tym szybę w drzwiach dębowej witryny. Nie przejęłam się tym zbyt i postanowiłam zrobić sobie piętnaście minut drzemki. Trochę lenistwa jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Zresztą, nikt, kto doskonale wie, że osoby nieuczestniczące w wycieczce szkolnej są zwolnione z zajęć, nie wynurzyłyby się spod ciepłej kołdry. Kiedy jednak coś pod moją poduszką zaczęło wibrować, nie wytrzymałam i czym prędzej wyszłam z łóżka. Wzięłam telefon i sprawdziłam godzinę. Poza czterema cyframi na ekranie pojawiła się informacja o jednej nieprzeczytanej wiadomości. Zignorowałam to i odłożyłam telefon na szafkę. Wolnym krokiem zbliżyłam się do rozbitego szkła, zachodząc w głowę, co mnie podkusiło, żeby rzucać wcale nie lekkim budzikiem. Nie czekając, pochyliłam się i zaczęłam zbierać wszystkie odłamki. W kilka minut po rozbitej szybie nie było już śladu. Tylko jej brak w witrynie delikatnie rzucał się w oczy, więc dla zakrycia przewiesiłam przez drzwi szafy czerwony koc w pluszowe misie. Ubrałam się ciepło, jak na zimę przystało i w obawie, że coś jeszcze mogę zepsuć, opuściłam pokój.

Zarzuciłam na ramiona czarny płaszcz, owinęłam szyję kolorowym szalem i wyszłam z domu. Nie miałam pojęcia, która jest godzina, ponieważ telefon zostawiłam w domu. Na ulicy ruch się wzmacniał, więc nie mogło być tak wcześnie. Obralam swój stały kierunek i powoli podążałam w stronę cmentarza. Kiedy mijałam po drodze przystanek, udało mi się wyłapać kilka zdań czekającej na autobus młodzieży. Dla niektórych najgorszą rzeczą, jaka może istnieć, był fakt, że kierowca zjawiał się codziennie o tej samej porze. Marudne monosylaby pierwszaków nie były zbyt interesujące, natomiast wypowiedzi ich starszych kolegów przyprawiały większość osób o niekontrolowane wybuchy śmiechu. Głupie i często niemiłe docinki ze strony drugoklasistów były już tradycją przystanku na Victor Ave.

Czułam na sobie czyjeś spojrzenie. Inne od pozostałych. Takie intensywne i nieprzerwane. Niepewnie odwróciłam głowę w poszukiwaniu mojego obserwatora. Lustrowałam wzrokiem każdą osobę na przystanku, jednak każda z nich była zajęta sobą. Przymknęłam na chwilę oczy, lecz to uczucie nie zniknęło. Nie wiedząc co robić, ruszyłam przed siebie. W pobliskiej kwaciarni kupiłam dwie duże, czerwone róże. Po kilku minutach marszu znalazłam się na cmentarzu. Odnalazłam nagrobek mamy i ręką odśnieżyłam płytę, po czym położyłam tam różę. Stałam przed jej grobem, przypominając sobie jak to było mieć mamę, i jak bardzo

moje życie uległo zmianie odkąd jej nie ma. Próbowałam powstrzymać łzy cisnące mi się do oczu, jednak znalazły ujście i powoli spływały po moich policzkach.

- Kocham Cię, wiesz? – zapytałam w nadziei, że mi odpowie.

Tak bardzo bym tego chciała. Chciałabym, żeby wróciła i było jak dawniej.

- Ona to wie.

Co? Głos dobiegł zza pleców. Nie byłam w stanie rozpoznać do kogo należy, ponieważ był lekko zachrypnięty. Przestraszona trwałam w miejscu bez ruchu. Nieświadomość tego, kto za mną stoi sprawiła, że moje dłonie delikatnie drżały i pomimo moich prób nie udało mi się ich uspokoić.

- Wie to, wierz mi. Twoja mama na pewno nie chciałaby, żebyś płakała – usłyszałam.

Po krótkim namyśle stwierdziłam, że aby dowiedzieć się kim jest nieznajomy, mam dwa wyjścia: odwrócić się, bądź ciągnąć tę rozmowę, udając, że jestem świadoma tego, z kim rozmawiam. Byłam ciekawa, jednak bardziej interesowało mnie to, co nieznajomy ma mi do powiedzenia.

- Skąd możesz to wiedzieć? – zapytałam.

- Znałem twoją mamę i doskonale wiem, że łzy jej córki są ostatnią rzeczą, jakiej by chciała. Byłaś jej całym światem.

Po śmierci mamy nikt nigdy nie powiedział mi, że mnie kochała, słyszę to pierwszy raz i to z ust osoby, której na razie nie znam.

- A jeśli już nie umiem inaczej? Jeśli umiem tylko płakać i myśleć, że już nigdy nie będzie dobrze?

Wpatrywałam się w pozłacane ornamenty na granitowej płycie nagrobka i dotarło do mnie, że mamy nie ma już ze mną dwa lata. Trzy miesiące temu minęła druga rocznica jej śmierci, a ja byłam tak pochłonięta różnymi sprawami, że tego nie zauważyłam.

- Umiesz. Musisz tylko w siebie uwierzyć.

Słowa nieznajomego dotknęły mnie. Miałam w siebie uwierzyć? Moja wiara upadła dwa lata temu, po stracie najbliższej mi osoby. Kiedy znajomi zaczęli postrzegać mnie jako wariatkę, a nauczyciele proponowali spotkania z grupami wsparcia zrozumiałam, że nigdy nie będzie już dobrze. Nie widziałam sensu w robieniu sobie złudnej nadziei na lepsze jutro. Na wspomnienie zdarzeń z przeszłości mój mózg wywołał automatyczny odruch. Małe strumienie zmieniły się w wodospady słonych łez spływających po mojej twarzy. Mróz dotkliwie szczypał w mokre policzki. Powoli zaczynałam tracić siły. Nogi ugiwały się pod ciężarem mojego ciała. Ręce bezwładnie wisały wzdłuż tułowia. Czerwona róża wypadła z moich rąk, a chwilę później poczułam ból w kolanach i zimno zamarznętego śniegu. Oparłam dłonie na udach i lekko pochylając się do przodu, szepnęłam:

- Kiedyś będziemy znowu razem.

Nie wiem jak długo tak klęczałam. Minęły może dwie minuty, a może dwie godziny. Błądząc we własnych wspomnieniach, straciłam poczucie czasu. Przez cały ten czas moje spodnie sukcesywnie wpijały wodę z topniejącego śniegu, przez co utworzyły ogromne, ciemne plamy na kolanach. Zimno w zupełnie opanowało moje ciało. Z mojego wewnętrznego letargu wyrwało mnie ciepło dłoni, która właśnie dotknęła mojego ramienia. W ułamku sekundy w mojej głowie pojawiły się miliony scenariuszy dotyczących tego, co zaraz może się wydarzyć. Nie chcąc dopuścić do spełnienia jednego z najgorszych, gwałtownie podniosłam się z zimnej ziemi i odwróciłam się w stronę nieznanego. W momencie, gdy nasze spojrzenia się spotkały, po plecach przebiegł mi dreszcz. On. Jego twarz była blada, a oczy podkrążone. Policzki czerwone, najprawdopodobniej od zimna i lekko zapadnięte. Wyglądał jak wrak człowieka. Mogło się wydawać, że nie zasnął przez długi czas. Tylko jego oczy były takie, jak zwykle. Szeroko otwarte, wszechogarniające i ciągle żywe piękne, brązowe tęczęwki.

- Ty? - szepnęłam.

- Ja - odpowiedział równie cicho jak ja.

- Ale dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego to powiedziałaś... te wszystkie słowa?

- Powiedziałem prawdę.

- Dlaczego myślisz, że tak jest?

- Ja nie myślę, ja to wiem Joy. A teraz chodźmy stąd.

Chłopak przeszedł obok mnie i schylił się po czerwoną różę, która ciągle jeszcze leżała i wręczył mi ją. Delikatnie złapał mnie za ramię i już chciał kierować się ku wyjściu, kiedy powiedziałam mu, że muszę jeszcze do kogoś pójść. Blondyn spojrzał na mnie z ciekawym wzrokiem, lecz nic nie powiedział i tylko skinął głową na znak, że się zgadza. Instynktownie chwyciłam blondyna za nadgarstek i wraz z nim zaczęłam krążyć cmentarnymi ścieżkami. Chłopak dwa razy niebezpiecznie się poślizgnął i myślałam, że zaraz oboje wylądujemy na ziemi, jednak udało mi się utrzymać go w pionie. Mój towarzysz nie krył zdziwienia, kiedy dotarliśmy na miejsce.

- Joanne Stanley? Serio? - zapytał zdziwiony.

W odpowiedzi pomachałam tylko głową i kucnąwszy, położyłam kwiat na płycie.

- Zawsze tu przychodzę - powiedziałam, chcąc zaspokoić ciekawość chłopaka.

- I zawsze zostawiasz kwiaty? - dopytywał.

- Zazwyczaj.

- Czyli... - przerwał, jakby analizując wszystko w głowie - Ty jesteś naszym tajemniczym elfem! - wykrzyknął.

- Czy ja Ci przypominam elfa?

- Nie... Właśnie powiedziałaś, że to Ty przychodzisz do mojej babci i zostawiasz tutaj kwiaty.

- Tak. Tak powiedziałam.

- Chodzi o to, że moja mama, ilekroć wracała z cmentarza, zachodziła w głowę, kim jesteś i dlaczego to robisz. Jakiś tydzień temu, dla żartu, założyłem się z mamą, że jeśli dowiem się kim jest nasz "tajemniczy elf", to przez najbliższy miesiąc nie będę musiał zmywać. I chyba mi się udało - uśmiechał się podekscytowany.

- Okej, w takim razie nie ma za co - spojrzałam na uradowanego blondyna i sama posłałam mu miły uśmiech.

Pożegnaliśmy się z Joanne i, chcąc zaoszczędzić chłopakowi trudów lawirowania między nagrobkami, pociągnęłam go za sobą, i wspólnie opuściliśmy cmentarz idąc nowym, brukowanym chodnikiem. Kiedy blondyn starał się zamknąć bramę jak najciszej, a ta wydała z siebie przeraźliwe skrzywienie i pisk, postanowiłam się odezwać:

- Jacob?

- Hm?

- Dlaczego nie jesteś w szkole?

- A dlaczego miałbym być?

- Może dlatego, że nie ma dziś soboty, o niedzieli nie wspominając?

- Może i nie ma, ale czy nie mogłem zrobić sobie dnia wolnego?

- Przestaniesz odpowiadać pytaniem na pytanie?

- Dlaczego?

- Bo Cię o to proszę. To denerwujące.

- Dobrze. Mam pomysł. Chodźmy do Ciebie.

- Co? Dlaczego do mnie? Chyba masz swój dom.

- Owszem, ale w domu jest mama i Kate, a one mają myśleć, że jestem w szkole, więc nie masz wyjścia i musisz przygarnąć sąsiada - spojrzał na mnie zabawnie poruszał brwiami. Zaśmiałam się głośno, a chłopak złapał mnie za ramię i zaczął ciągnąć mnie w stronę domu.

- Mogę Cię o coś zapytać? - powiedziałam i, odłożywszy miskę z popcornem na stół, usiadłam na kanapie obok chłopaka.

- Jasne. Wróż Jacob prawdę Ci powie - na jego słowa oboje wybuchliśmy gromkim śmiechem.

- Obiecuj, że odpowiesz szczerze!

- Obiecuję.

Biłam się z myślami. Bałam się, że mnie wyśmiejże albo powie coś, co mnie zabol. Nie mogłam teraz zrezygnować. Nie było już odwrotu. Muszę skończyć to co zaczęłam!

- Jacob, bo... Ostatnio ty, a właściwie my... Nie mogę, no - jęknęłam zrezygnowana.

- Spokojnie. O co chodzi? - usiadł przodem do mnie i intensywnie patrzył mi w oczy. - Jeszcze raz i powoli - położył dłoń na moim ramieniu i potarł nią kilka razy, chcąc dodać mi otuchy.

Wzięłam dwa wdechy i powiedziałam:

- Chciałam zapytać o co w tym wszystkim chodzi? - wyciągnęłam ręce przed siebie i zatoczyłam nimi okrąg.

- W czym?

- W tym, że teraz siedzisz sobie na mojej kanapie, w moim salonie, w moim domu i w moim towarzystwie jak gdyby nigdy nic. Jak gdybyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi od lat, a doskonale wiesz, że tak nie jest! Ostatni raz rozmawialiśmy ponad trzy lata temu, a potem tak nagle zacząłeś mnie unikać. Co się stało? Wytłumacz mi to, bo ja tego nie rozumiem. Nie wiem jak powinnam to odbierać.

Blondyn zmieszany opuścił głowę i, przypatrując się swoim dużym dłoniom, milczał. Jego lewa brew niekontrolowanie drgnęła. Oddech chłopaka stał się znacznie szybszy niż przed chwilą. Oddychał przez usta, co chwilę przygryzając dolną wargę. Siedział zgarbiony, bokiem do mnie, a ręce opierał na kolanach. Zaciskał pięści na tyle mocno, że jego kostki pobielaly. Był spięty.

- Jeśli powiem, że chcę spędzić z Tobą trochę czasu, a przy okazji naprawić swój błąd, uwierzysz mi? - zapytał spokojnym i opanowanym głosem po kilku minutach głuchoj ciszy.

- Nie możesz powiedzieć mi wszystkiego od razu? - zapytałam lekko podenerwowana.
- To ciężki temat. Możemy to przelożyć? - prosił.
- Nie. Proszę powiedz mi.
- Boję się, że znienawidzisz mnie jeszcze bardziej niż dotychczas.
- Kto Ci powiedział, że Cię nienawidziłam?
- Tak myślałem.
- W takim razie byłeś w błędzie. A teraz mów!
- Na pewno tego chcesz?
- Oczywiście, że tak. Kiedy wreszcie Cię odzyskałam, chciałabym wiedzieć, co takiego zabrało mi cię na te trzy lata.

Chłopak westchnął głośno. Przeczesał ręką swoje, trochę za długie, blond włosy i spojrzał na mnie uległym wzrokiem.

- Zawarłem umowę.

*"I nigdy nie będę chciała więcej niż to
I w sercu zawsze będę pewna"*

7

Dopiero teraz, spacerując po opustoszałych ulicach zasypiającego Redding, zdałam sobie sprawę z tego, jak głupia byłam, wyrzucając Jacoba za drzwi. Po tym, jak poznałam już całą prawdę dotyczącą umowy, bez namysłu wyprosiłam chłopaka z domu. Nie rozumiałam jak Jacob mógł okazać się takim kretynem. Przez najbliższe dwa dni głowa pękała mi od nadmiaru nieuporządkowanych informacji i pytań bez odpowiedzi. Kolejne nie różniły się bardzo od poprzednich. Wewnętrzna bitwa pozbawiła mnie snu na kilka kolejnych nocy. Zarywałam lekcje. Siedziałam w klasie i bez większego zainteresowania gapiałam się na nauczyciela, chcąc stworzyć pozory pilnej i uważnej uczennicy. Z domu wychodziłam tylko z konieczności pójścia do sklepu czy do szkoły. Unikałam go. Nie byłam przygotowana na jakąkolwiek rozmowę z nim. Chciałam, aby zdał sobie sprawę z tego, że potrzebuję czasu. Z myśleniem to jak z książkami w bibliotece, zanim je odłożysz na właściwą półkę, dwa razy zastanawiasz się czy dobrze robisz.

Minął tydzień. Siedem dni. Tyle wytrzymałam. Piątkowego wieczoru moje sumienie wzięło górę i, nie zważając na nic, czym prędzej wybiegłam z pokoju, kierując się w stronę domu Jablonsky'ch. Miałam nadzieję, że zastanę Jacoba w domu i będę mogła z nim

porozmawiać. Lekko zdenerwowana zapukałam trzy razy w drzwi, które w przeciągu kilkunastu sekund otworzyły się. Zza nich wychyliła się postać niewysokiej blondynki w średnim wieku, pani domu. W oczach kobiety dało się zauważyć zdziwienie. Patrzyła na mnie swoimi dużymi oczami, przez co, z każdą kolejną sekundą tej konfrontacji, robiło mi się coraz bardziej głupio, a moja pewność siebie gdzieś zanikała. Chcąc przerwać niezręczną ciszę, przywitałam się:

- Dzień dobry. Czy Jacob jest w domu?

Gdy tylko padło imię chłopaka, kobieta znieruchomiała, jednak szybko się otrząsnęła i gestem ręki zaprosiła mnie do środka, w międzyczasie odpowiadając na moje pytanie.

- Jest na górze. Zawołać go czy może chcesz do niego pójść? - zapytała.

- To może ja lepiej do niego pójde - odpowiedziałam po krótkiej chwili zastanowienia.

Trzydziestodwuletnia skinęła tylko głową, po czym w mgnieniu oka rozplynęła się za ścianą kuchni, pozostawiając mnie samą na środku przedpokoju. Nie czekając na zaproszenie, od razu skierowałam się w stronę schodów. Złapałam zimną, ozdobną poręcz i powoli wspinałam się na piętro. Krok po kroku. Będąc już u szczytu poczułam, że moje nogi są niczym z waty, jednakże udało mi się dotrzeć pod białe drzwi oblepione różnorakimi naklejkami, plakatami czy zakazami wstępu. Nie trudno było się domyślić, do którego z członków rodziny Jablonsky'ch należy pokój. Sześciolatka Kate preferowała raczej pluszaki i różowe ubrania, natomiast pani domu była osobą spokojną, wręcz oazą spokoju, niezdolną do słuchania rockowej muzyki. Zbliżyłam się do drzwi, powoli uniosłam dłoń i cicho zapukałam w białe drewno. Wytężyłam słuch, oczekując odpowiedzi, lecz z pomieszczenia nie wydobył się żaden dźwięk. Ponowiłam swoją próbę, jednak nie przyniosła ona efektów.

- Dziecko drogie - usłyszałam za plecami - Nie stój tak i po prostu wchodź! Jacob i tak nie podniósłby swojego tyłka żeby otworzyć. Jest zbyt leniwy - powiedziała.

Odsunęłam się od drzwi i z zaciekawieniem spojrzałam na kobietę, która w rękach trzymała stertę ładnie poukładanych rzeczy i bacznie mi się przyglądała.

- Chyba tak nie powinnam - powiedziałam cicho, splatając palce obu dłoni.

- Kochanie - zaczęła, lecz nie skończyła i tylko się uśmiechnęła, po czym wyminęła mnie i sprawnym ruchem otworzyła drzwi do pokoju syna.

Obie zajrzałyśmy do środka, a naszym oczom ukazał się blondyn siedzący na podłodze przed wielkim telewizorem z padem w dłoni. Na olbrzymim ekranie nie dało się nie zauważyć biegających w różnych kierunkach postaci. Wirtualne boisko. Właśnie w taki sposób dzisiejsza młodzież uprawia sport. Matka blondyna weszła do środka, podczas gdy ja opierałam się o futrynę i przyglądałam się poczynaniom kobiety. Wpierw odłożyła poukładane ubrania na niezaścielone łóżko, otworzyła okno, aż w końcu podeszła do kontaktu, z którego wyjęła końcówkę przedłużacza z mnóstwem innych końcówek, co spotkało się z wielkim oburzeniem i niezadowoleniem chłopaka. Zdjął z głowy słuchawki, chcąc wysłuchać tego, co rodzicielka ma mu do powiedzenia.

- Synu, nie chciałabym ci przeszkadzać, ale... - zawahała się - Siedzisz nad tą grą od trzech godzin. Chyba wystarczy już na dziś - dokończyła.

Chłopak podniósł głowę i spojrzał na matkę ze złością w oczach.

- Nie, nie wystarczy - mruknął i podniósł się, aby ponownie włączyć grę.

- Nawet nie próbuj - zagroziła kobieta, lecz chłopak wydawał się totalnie ignorować to, co mówi.

- Poza tym, masz gościa - dodała po chwili i skierowała się do wyjścia.

Blondyn podniósł głowę i wtedy nasze spojrzenia się spotkały. Kobieta delikatnie wepchnęła mnie do środka, uśmiechając się motywująco i zamknęła za sobą drzwi. Wpatrywałam się w jego duże, piękne oczy, które kochałam od dziecka. Jego włosy były w nieładzie, jakby dopiero przed chwilą się obudził. Jego szara, skąpa koszulka pognieciona była dosłownie wszędzie. Oboje wpatrywaliśmy się w siebie bez słowa. Cisza między nami była nie do zniesienia i - widząc, że Jacob nie ma zamiaru jej przerwać - zrobiłam to ja.

- Chciałam cię przeprosić. Nie powinnam była tak reagować, tylko wysłuchać cię do końca. Teraz żałuję... Naprawdę nie chciałam cię wyrzucić z domu tylko po pro...

- Bądź cicho - warknął. - Nie mam Ci niczego za złe. Wiedziałem, że kiedyś będę musiał ci to wyjaśnić, jednak miałem nadzieję, że nie będziesz chciała o tym wiedzieć. Tak właściwie spodziewałem się gorszej reakcji. Myślałem, że może będziesz chciała mnie zakopać w ogrodzie po tym wszystkim.

Jego słowa wywołały uśmiech na mojej twarzy. Podeszłam kilka kroków w jego stronę i spojrzałam mu w oczy, po czym powiedziałam:

- Wiesz, to bardzo kusząca propozycja, ale w życiu nie zaciągnęłabym cię do ogrodu - wyszczerzyłam zęby w uśmiechu.

- Pod tym kryje się jakiś podtekst?

- Interpretuj to jak chcesz.

Blondyn mruknął coś niezrozumiałego pod nosem, wzdrygnął ramionami i rzucił się na łóżko, zatapiając w białej pościeli. Złapał róg małej poduszki i wsunął ją sobie pod głowę, po czym spojrzał na mnie. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, tylko intensywnie wpatrywał się w moją osobę. Nie tak wyobrażałam sobie tę rozmowę. Myślałam, że wyjaśnimy sobie wszystko od początku do końca, jednak się pomyliłam. Chciałam się dowiedzieć czy między nami będzie tak, jak kiedyś, lecz, wnioskując po zachowaniu Jacoba, mam marne szanse na uzyskanie odpowiedzi. Z myślą, że moje beczynne stanie pośrodku pokoju nic nie zdziała, odwróciłam się na pięcie i podeszłam do drzwi. Gdy już miałam nacisnąć klamkę, usłyszałam jego głos.

- Jeśli zadam Ci pytanie, odpowiesz mi na nie?

- Dlaczego miałabym tego nie zrobić? - zapytałam.

Usłyszawszy moją odpowiedź, zerwał się z łóżka jak oparzony, zrzucając przy tym pościel na podłogę. Z prędkością światła podszedł do mnie i delikatnie złapał mnie za ramiona. Wpatrywał się we mnie z taką intensywnością, że zaczęłam się zastanawiać co w tej chwili chodzi mu po głowie. Byłam zdezorientowana, nie wiedziałam co się dzieje, jednak kiedy Jacob się odezwał, wszystko stało się jasne.

- Dasz mi jeszcze jedną szansę? - wypowiedział, a moje oczy automatycznie się powiększyły.

- Mogę nawet przed Tobą klęknąć, jeśli zechcesz - dodał po chwili.

- Więc?

- Dlaczego miałabym Ci dać drugą szansę?

- Bo Cię o to proszę?

Zapadła cisza.

- Nie chciałabym potem żałować.

- Nie będziesz, przysięgam! - powiedział, po czym podniósł prawą dłoń w górę.

- Wiem - uśmiechnęłam się.

- Czyli to znaczy... - zaczął.

- Tak - przerwałam mu, przyciągnęłam go do siebie i wtuliłam się w ciepłe ciało blondyna. Nie wiem czy było to dobre posunięcie, ale bardzo tego potrzebowałam. Potrzebowałam poczuć, bijące od niego ciepło. Pragnęłam znów poczuć się szczęśliwa w jego ramionach.

*“Nigdy cię nie zapomnę
I będziesz u mego boku do dnia, w którym umrę”*